

MOTYLEK

KATARZYNA
PUZYŃSKA

MOTYLEK

Prószyński i S-ka

Copyright © Katarzyna Puzyńska, 2014

Projekt okładki
Mariusz Banachowicz

Redaktor prowadzący
Anna Derengowska

Redakcja
Anna Sidorek

Korekta
Maciek Korbaśiński

Łamanie
Ewa Wójcik

ISBN 978-83-7839-695-6

Warszawa 2014

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

Druk i oprawa
Drukarnia TINTA
13-200 Działdowo, ul. Żwirki i Wigury 22
www.drukarniatinta.pl

Dla Barbiny i Krzyśka

I dreamed I was a butterfly, flitting around in the sky; then I awoke. Now I wonder: Am I a man who dreamt of being a butterfly, or am I a butterfly dreaming that I am a man?

Zhuangzi

Śniło mi się, że jestem motylem, fruującym po niebie; potem obudziłem się. Teraz zastanawiam się: Czy jestem człowiekiem, który śnił, że jest motylem, czy jestem motylem, który śnił, że jest człowiekiem?

Zhuangzi

PROLOG

Warszawa. Niedziela, 30 grudnia 2012

Niedawno skończyła się msza, ale teraz kościół był już pusty i ciemny. Ciszę przerywały tylko dalekie echa. Mężczyzna usiadł ciężko w pierwszej ławce. Nieco z boku. Nie chciał, żeby ktoś od razu go zauważył, gdyby przypadkiem tu zajrzał. Potrzebował chwili prywatności.

To, co zrobił, nie dawało mu spokoju. Z perspektywy czasu było jeszcze gorzej. Myślał, że wyrzuty sumienia z czasem miną, ale tak się nie stało. Można było wręcz powiedzieć, że wraz z mijającymi dniami czuł się coraz gorzej. Przypominał sobie coraz więcej szczegółów. Pamiętał dokładnie, w co była ubrana, jak miała ułożone włosy. Pamiętał jej głos. Najgorsze ze wszystkiego były jednak jej oczy. Najpierw pojawiło się w nich przerażenie, kiedy zorientowała się, co się za chwilę wydarzy. Potem, kiedy już było po wszystkim, jej spojrzenie stało się puste. Nic już nie wyrażało. W jej oczach widział tylko swoje odbicie. Odbicie potwora.

Mężczyzna zadrżał w ciemności pustego kościoła. Nie wiedział, czy to przez wdzierający się do świątyni chłód,

czy przez wspomnienia. Teraz jest już za późno, rozważał dalej. Święci na obrazach zdawali się patrzeć na niego oskarżycielsko. Teraz jest już za późno, powtórzył sobie w duchu, jakby chciał przekonać i siebie, i ich. Nie zmieni tego, co zrobił. Nie da się tego odwrócić. Za późno. Przyjdzie mu żyć z brzemieniem najgorszego grzechu.

Może z czasem uda mu się zapomnieć. Patrzył błagalnie w ołtarz rozświetlony wiecznym światłem przy złotym tabernakulum, ale bał się otwarcie prosić Boga o pomoc w tej sprawie. To byłoby bluźnierstwo.

Mężczyzna przymknął oczy i zatopił się w ciszy. Jego myśli błądziły niespokojnie. Teraz najważniejsze, żeby nikt się nie dowiedział, uznał w końcu. Wydawało się, że podjął wszelkie kroki, żeby temu zapobiec. Był bezpieczny. Przynajmniej na razie.

**CZĘŚĆ
PIERWSZA**



ROZDZIAŁ 1

Lipowo. Wtorek, 15 stycznia 2013, rano

Weronika Nowakowska obudziła się nagle. Przetarła oczy leniwym ruchem. Wydawało się, że dzień jeszcze nie wstał na dobre. Wokół panowała zaspana cisza poranka przerywana jedynie błogim chrapaniem psa. Brak jakichkolwiek dźwięków wydawał się nienaturalny. Mieszkała na wsi dopiero od tygodnia i jeszcze nie przywykła, że za oknem nie ma warszawskiego szumu. Odgłosy miasta były tłem, którego się nie zauważało, dopóki ich nie zabrakło. Nie było szmeru samochodów ani stukotu tramwajów. Nie było głosów ludzi spieszących do pracy. Cisza.

Powoli wystawiła rękę spod kołdry. Było zimno. Trzeba będzie zrobić coś z ogrzewaniem. Może poprosić kogoś miejscowego, żeby wytłumaczył jej zasady działania pieca w kotłowni. Jak na razie była to dla niej czarna magia. Uważała się za mieszcucha. Całe życie mieszkała w bloku, gdzie nie musiała się martwić ogrzewaniem. Działało samo. Tym czy innym magicznym sposobem.

Podniosła się powoli, odwlekając jak najdłużej moment wyjścia spod pierzyny. Wzdrygnęła się, kiedy jej

stopy dotknęły zimnej posadzki. Koniecznie trzeba będzie podkreślić ogrzewanie. Chuchnęła na próbę ciekawa, czy jej oddech zmieni się w parę pod wpływem zimna. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Może przesadzała. Miejscowi pewnie śmialiby się, gdyby ją teraz zobaczyli.

– Cześć, piesku! Dobrze spałeś? – Weronika poklepała psa po głowie. Zamachał niechętnie puchatym ogonem i zamknął oczy, podkreślając, że nadal śpi. On też nie był przyzwyczajony do porannego wstawania. – Igor, jesteś chyba najbardziej leniwym psem na świecie!

Wyjrzała na zewnątrz. Za oknem las tonął w śnieżnej bieli. Nigdy nie lubiła zimy, ale tu na wsi nagle zaczęła patrzeć na nią inaczej. Zaśnieżone gałęzie, ślady zwierząt odcisnięte w białym nieskazitelnym puchu. Wszystko wyglądało tak romantycznie.

– Romantycznie – prychnęła, upinając rude loki w luźny kok. Pies przekrzywił głowę zdziwiony jej wybuchem. – Widzisz, Igor, zostaliśmy sami, ty i ja. Gdzieś na końcu świata! Zakopana po pas w śniegu. Z leniwym psem do towarzystwa. To naprawdę bardzo romantyczne!

W ciągu ostatniego tygodnia, podczas samotnych ciemnych wieczorów zakrapianych czerwonym winem o ciepłym smaku, tysiące razy roztrząsała swoją decyzję rozwodu z mężem i kupna tego starego, nieco podniszczonego wiejskiego dworku. Jakby to była jej decyzja, zaśmiała się w duchu. Jakby to nie Mariusz postanowił wybrać pierwszą lepszą. Tylko nie mnie.

Podpisali papiery rozwodowe, ot, czysta formalność, a były już wtedy mąż wpłacił jej na konto okazałą sumę pieniędzy. Taki *good-bye gift* jako zadośćuczynienie, jak

powiedział tym swoim irytująco pewnym siebie tonem człowieka z wyższych sfer. Nie należał do biednych i chyba się przyzwyczał, że za pieniądze kupi wszystko. W tym wybaczenie byłej żony. Wydawał się zdziwiony, że nadal jest na niego zła.

Z pieniędzmi na koncie Weronika mogła kupić mieszkanie w Warszawie i żyć jak dotąd. Codziennie rano otwierać gabinet i uśmiechać się do kolejnego pacjenta. Podtrzymywać wizerunek wesołej, pełnej energii pani psycholog. Gdzieś w środku czuła jednak krzyk, który stopniowo narastał – aż miała wrażenie, że dłużej nie wytrzyma. W końcu zdecydowała, że czas pójść za tym wewnętrznym głosem bez względu na konsekwencje.

Paradoksalnie to były mąż pomógł jej ruszyć z miejsca. Okazało się, że ojciec Radka Juniora Kojarskiego, dobrego znajomego Mariusza, miał do sprzedania dworek wraz z trzema hektarami ziemi we wsi Lipowo. Mimo początkowej niechęci zadzwoniła pod naskrobany na skrawku papieru numer telefonu. Oferta była nadal aktualna. Podpis. Przelew na konto. I została dumną właścicielką starego wiejskiego dworku na Mazurach, mając za sąsiada Seniora Kojarskiego wraz z rodziną. Jego majątek szacowano podobno na miliardy złotych. Pieniądze, które zapłaciła mu za dom, stanowiły tylko kroplę w morzu jego codziennych inwestycji.

Mariusz śmiał się początkowo z jej zamiarów, ale ona postanowiła nie zwracać na to uwagi. Jego śmiech nie dotyczył już przecież j e j. Raczej Kamili, Anety czy Klaudii. Czy z kim tam teraz był. Dumnie odmówiła pomocy przy przeprowadzce. Da sobie radę sama, dziękuję bardzo.

Tak, da sobie radę także z remontem. Tak, zdaje sobie sprawę, że to ciężka praca. Tak, da sobie radę ze wszystkim sama. Sama!

Tylko dlaczego przez ostatnie wieczory nie mogła powstrzymać łez? Leżała na łóżku wtulona w puchatego Igora i czuła się najbardziej samotną istotą na świecie.

– Igor! – krzyknęła, porzucając depresyjne wspominki. Golden retriever zerwał się z posłania, oczekując na swoje ulubione słowo. „Śniadanko” było hasłem, które mogło go wybudzić z najgłębszego snu. – Koniec z tym uzalaniem się! Pani bierze się w garść. Musimy żyć na nowo. Sami. Damy radę!

Wesołość w jej głosie brzmiała sztucznie, ale na razie to musi wystarczyć.

Pies pognał po schodach do kuchni na parterze. Żłoty ogon zniknął na dole. Cały dom nadal był pełen nierozpakowanych jeszcze pudeł z warszawskimi rzeczami. Stały niedbale wśród starych mebli, które kupiła wraz z dworkiem. Wszędzie unosił się lekki zapach kurzu i stęchlizny, typowy dla domów, gdzie długo nikt nie mieszkał. Schody skrzypiały pod jej stopami, kiedy schodziła ostrożnie na parter. Niektóre stopnie były nieco niepewne, ale nauczyła się już je omijać.

Postanowienie na nowy rok – pomyślała, wysypując psu karmę do miski. – Właściwie to postanowienie na nowe życie: posprzątać!

Wyjęła jogurt z lodówki i zjadła go w zamyśleniu. Dom wymagał gruntownych porządków, tak jak jej życie. Igor pochłoniął swoją karmę i pobiegł do przedpokoju w poszukiwaniu smyczy. To był ich codzienny rytuał. Śniadanie, spacer. Nie mogła go zawieść. Nawet kiedy cały jej

świat walił się przygniatany imionami kolejnych kochanek męża, spacer Igora był świętością. Wepchnęła bujne włosy pod czapkę i zapięła puchową kurtkę. Nie chciała ryzykować. Na wsi było znacznie zimniej niż w mieście.

Tak jak się spodziewała, na dworze panował siarczysty mróz. Najłżejszy wiatr nie przebijał ściany zmarzniętego powietrza. Wszystko jakby zastygło w lodowym śnie. Śnieg błyszczał w zimowym słońcu, które było niemal tak ostre jak latem. Czują się tak, jakby wkroczyła we wnętrze obrazu przedstawiającego skandynawskie pejzaże, a może nawet odległą Syberię. Wesole szczekanie Igora obudziło ją z zamyślenia. Ruszyła dziarsko w stronę lasu. Teraz tylko ruch mógł uratować ją przed zimnem.

Jej dom stał na wysokim wzniesieniu kawałek drogi za wsią, na skraju lasu należącego do Brodnickiego Parku Krajobrazowego. Za lasem, który w tym miejscu nie był zbyt szeroki, leżała posiadłość Seniora Kojarskiego i jego rodziny. Weronika lubiła chodzić leśną ścieżką w stronę jego olbrzymiego domostwa. Rezydencję Kojarskich można było równie dobrze nazwać pałacem. To określenie chyba nawet lepiej pasowało do jej strojnego charakteru i gigantycznych rozmiarów.

Ścieżka, która prowadziła wśród brzozowego młodnia-ka do rezydencji, musiała przepięknie wyglądać wiosną i latem, kiedy drzewa tonęły w delikatnej zieleni. Mniej więcej w połowie drogi znajdowała się niewielka okrągła polana, którą Weronika nazywała w myślach Polaną Czarownic. Była bajkowo okrągła, zupełnie jakby została specjalnie wytyczona przez człowieka. Brakowało na niej tylko domku z piernika.

Nagle Weronika zorientowała się, że nie jest sama. Bez troski nastrój ustąpił miejsca zaniepokojeniu. Pośrodku polany stał mężczyzna w grubej zielonej kurtce i futrzanej czapie. Jego twarz tonęła pod karykaturalnie dużą brązową brodą. Gdyby był nieco grubszy, a broda siwa, można by go wziąć za Świętego Mikołaja.

Na jej widok podniósł rękę do czapki w uroczym staroświeckim geście powitania.

– Dzień dobry. Edward Gostyński, leśniczy – przedstawił się. Z bliska wyglądał na młodszego, niż początkowo myślała. – Czy to pani pies?

– Tak, to mój pies – przyznała się ostrożnie. Jego ton nie wróżył nic dobrego. – Jestem Weronika Nowakowska. Niedawno się tu wprowadziłam. Mieszkam w tym dworku obok lasu.

– Wiem, kim pani jest – uciał. – Czy pani wie, że w lesie nie można spuszczać psa ze smyczy?

– Naprawdę? – postanowiła udawać, że nie zdaje sobie sprawy z istnienia takiego przepisu, co było właściwie prawdą. – Dopiero przyjechałam w te strony i nie wiedziałam...

– Pies może płoszyć zwierzynę. To jest park krajobrazowy – stwierdził z urażoną godnością leśniczy. – Proszę wziąć psa na smycz. Tym razem nie będę wyciągał konsekwencji. Ale proszę się pilnować na przyszłość. Pani przyjechała z Warszawy, prawda?

– Tak – przyznała Weronika.

Wolała nie wnikać, skąd to wiedział. Powinna się przyzwyczaić, że tu wszyscy wszystko o sobie wiedzą. Tak było w każdej małej społeczności. Podobno.

– W stolicy może macie inne zasady, ale my tutaj przestrzegamy prawa. Czy ktoś jest miejscowy, czy przyjezdny, jak pani. Życzę udanego dnia – dodał leśniczy Gostyński, ale nie wyglądało na to, żeby był w swoich życzeniach zbyt szczery.

Potulnie zapięła smycz Igora i ruszyła niespiesznie dalej. Pies wydawał się zawiedziony nagłą utratą wolności.

– Nie martw się, piesku, za chwilę pobiegasz – zapewniła go Weronika szeptem. – Zostawimy tylko pana leśniczego daleko za sobą.

Ciało zakonnicy leżało porzucone na poboczu szosy, jak popsuta lalka. Tylko kilkaset metrów i zakręt leśnej drogi dzieliły ją od wsi. Krew poplamiła świeży śnieg jaskrawą czerwienią. Kończyny i tułów były właściwie zmiażdżone, odsłaniając groteskowo poskręcane narządy wewnętrzne. Poły czarnego habitu otaczały umęczone ciało jak wielkie skrzydła. Tylko twarz pozostała nienaruszona. Malował się na niej wyraz zaskoczenia pomieszanego z bólem.

Zdziwiony kruk przysiadł obok. Oglądał ciało zmarłej z zainteresowaniem. Rzadko widywał coś takiego w swoim lesie. Krew pachniała zachęcająco. Zakrakał gardłowo, nawołując swoją partnerkę. Wśród drzew rozległa się dźwięczna odpowiedź.

Nagle na drodze pojawił się człowiek. Kruk odleciał zawiedziony.

Weronika Nowakowska przeszła wąskim mostkiem przez wartki leśny strumień. Woda szumiała przyjemnie. Stała na chwilę, rozkoszując się sielską atmosferą

poranka. Kawalek dalej las przerzedzał się i można było zobaczyć olbrzymią działkę, na której stało okazałe domostwo Kojarskich. Rezydencja otoczona była wspaniałym ogrodem, który latem podobno tonął w kwiatach. Weronice najbardziej podobał się wielki labirynt z równo przyciętego żywopłotu. W ciągu ostatniego tygodnia często stawała na skraju lasu, bojąc się naruszyć teren bogatego sąsiada, a zarazem pragnąc zagłębić się w ten niesamowity cud ogrodnictwa.

Spuściła Igora ze smyczy. Uznała, że byli wystarczająco daleko od trzymającego się litery prawa leśniczego.

– Dzień dobry! – słodki dziewczęcy głos dochodził od strony ogrodu.

Weronika wzdrygnęła się, przestraszona nagle obecnością innego człowieka. Znowu. Poranna cisza wydawała się jej własnością. Na szczęście to nie leśniczy, zaśmiała się w duchu. Nie miała ochoty na dalsze dyskusje.

– Och, jaki śliczny pieseczek!!!

Kobieta ubrana była w obcisły różowy kombinezon narciarski dla ochrony przed mrozem. Igor łąsił się do niej bezwstydnie. Zagłębiła w złotej sierści małe dłonie w różowych rękawiczkach. Pies był zachwycony tymi pieszczotami.

– Jestem Blanka! – przedstawiła się kobieta, poprawiając tlenione włosy. – Przyszłam stamtąd. – Wskazała w kierunku okazałego budynku.

Mimo mrozu nie miała na głowie czapki. Weronika podejrzewała, że to z obawy przed zepsuciem misternej fryzury. Końce jej uszu były czerwone z zimna, a szczęka jakby lekko drżała.

– Jestem żoną Ryszarda Kojarskiego – wyjaśniła Blanka.

– Ale wszyscy mówią na niego Senior. Żeby go odróżnić od Radka, jego syna. Jego nazywają Juniorem. No i wszystko jest zupełnie jasne, prawda? Poza tym Senior i Junior to takie arystokratyczne, prawda? Normalnie powinni mieć tak samo na imię, żeby mówić Junior i Senior, ale oni się tym nie przejmują.

Blondynka przerwała swój wywód perlistym śmiechem.

– Pamiętam panią. Dzień dobry. Przestraszyłam się, bo nie spodziewałam się nikogo tak wcześnie tu w lesie – wyjaśniła Weronika, żeby coś powiedzieć.

Żona sąsiada nie przypadła jej za bardzo do gustu. Spotkały się już raz przy zakupie domu Weroniki. Kobieta wyglądała na jej rówieśniczkę. Właściciel majątku natomiast, Senior Kojarski, musiał mieć co najmniej sześćdziesiąt lat. Weronika pomyślała wówczas, że stereotyp bogacza z młodą atrakcyjną żoną znalazł właśnie swoją doskonałą ilustrację.

Blanka Kojarska uśmiechnęła się przepraszająco. Jej oddech był szybki i niespokojny, jakby przejęła się całą sytuacją.

– Jak miło, że się spotkałyśmy! Często tu pani spaceruje? Może pójdziemy kawalek razem? – Igor zdawał się zachwycony szczebiotem atrakcyjnej blondynki.

Weronika przytaknęła tylko, bojąc się, że głos zdradzi jej niechęć do tego pomysłu. O samotnym spacerze w ciszy i kontemplacji zaśnieżonego lasu mogła zapomnieć.

– Myślę, że możemy sobie mówić na ty! – wykrzyknęła Blanka, jakby uważała to za najlepszy w świecie pomysł.

– Chyba jesteśmy w tym samym wieku...

– Weronika Nowakowska. – Weronika uściśnęła wyciągniętą do niej drobną dłoń.